

„Atakuję Kościół, a nie ludzi wierzących”

O pewnej formule, Klerze
i paru innych sprawach

Zastrzeżenie to pada za każdym razem, ilekroć na ekrany kin, deski teatru czy ściany galerii trafia dzieło sztuki, które – słusznie czy niesłusznie – zostaje odebrane jako obraźliwe dla katolików. Zwolennicy kolejnych obrazoburczych utworów usprawiedliwiają się wówczas słowami: „Atakuję Kościół, a nie ludzi wierzących”. A więc można odetchnąć z ulgą. Poddawana krytyce jest przecież nie sama wiara ani tym bardziej my, „porządni katolicy”, ale oni, odpowiedzialni za instytucjonalny wymiar społeczności wiernych (czasem, nie ma co ukrywać, dość niekomfortowy dla samych katolików). Ten zaś *przemija* wraz z *kształtem obecnego świata* (por. 1 Kor 7, 31), podczas gdy to, co najważniejsze, czyli miłość, *nigdy nie ustaje* (1 Kor 13, 8). I o ile intencje osób stosujących tę porządkującą formułę mogą być rzeczywiście jak najszczerze, to wciąż pozostaje pytanie, czy takie ustawienie dyskusji wypada uczciwie i czy katolik powinien na nie przystać.

My wszyscy jesteśmy Kościołem

Pan Jezus wyznaczył każdemu jego własne, indywidualne powołanie życiowe, a następnie ściśle związał je ze społecznością Kościoła. Innymi słowy: aby móc zacieśniać relację z Bogiem, zostaje po-

stawiony we wspólnocie osób takich samych jak ja, ochrzczonych, w różnym stopniu chcących się uświęcić i korzystających z sakramentów. Nikt nie powinien izolować się od innych w swojej wierze. Pan jest Trójcą Osób, która tworzy jedno, a więc również wiara powinna rozwijać się trynitarnie, na podobieństwo Trójcy, czyli w szczerzej otwartości na innych. Wynika z tego szereg podstawowych nauk Zbawiciela: *królestwo Boże pośród was jest* (Łk 17, 21), dlatego *miłujcie się wzajemnie, tak jak Ja was umiłowłem* (J 13, 34), a *którym odpuszczone grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane* (J 20, 23). Można przytoczyć całkiem sporo tekstów ewangelicznych na ten temat, a ich przekaz jest na ogół jasny: stajemy przed sobą jako osoby, a zarazem jako „naczynia”, czyli pośrednicy łaski Bożej, nawet jeżeli dalece niedoskonali czy wręcz kompromitujący Prawdę, która nas posyła. Tak zwani „zwykli wierni” potrzebują kapłanów sprawujących Najświętszą Ofiarę „na pożytek nasz i całego Kościoła”. Z kolei kapłani potrzebują „zwykłych wiernych”, aby posługa była pełna Chrystusowej miłości pasterza do owiec i owiec do pasterza. Tak samo ważne jest dobro braci i siostr zakonnych, małżonków, jak i osób stanu wolnego. Cokolwiek dotyka jednego z powołań, oddziałuje również na całą wspólnotę. Ponieważ jednak nie żyjemy jeszcze *jak aniołowie Boży w niebie* (Mt 22, 30), ramy instytucjonalne mają dopomóc w budowaniu tej jedności w wymiarze życia społecznego.

Oczywiście ksiądz, który sprawuje Mszę świętą albo oczekuje wiernych w konfesjonale, na co dzień sam może stać się powodem zgorszenia. W kontekście posługi kapłańskiej ważny jest sakrament (zawsze tak samo *pełen łaski*), a nie stan sumienia duchownego. Zarazem jednak sam Pan Jezus nauczył uczniów o obowiązku reagowania na każdy akt niesprawiedliwości, który wydarza się w założonej przez Niego wspólnotie, czy to na wysokich, czy też na niższych szczeblach hierarchii:

Gdy brat twój zgrzeszy, idź i upomnij go w cztery oczy. Jeśli cię usłucha, pozyskasz swego brata. Jeśli zaś nie usłucha, weź z sobą jeszcze jednego albo dwóch, żeby na słowie dwóch albo trzech świadków oparła się cała sprawa. Jeśli i tych nie usłucha, donieś Kościołowi! A jeśli nawet Kościoła nie usłucha, niech ci będzie jak poganin i celnik! (Mt 18,15-17).

Oto na władzach kościelnych spoczywa odpowiedzialność stworzenia takich struktur, dzięki którym będzie można skutecznie wdrażać w życie jednoznaczne polecenie Zbawiciela, zwłaszcza w przypadku najcięższych grzechów. To prawda, że świadome zaniedbania w tym zakresie stają się po prostu udziałem w *ohydzie spustoszenia* (zob. Dn 9, 27; Mt 24, 25). Słowa Ewangelii jasno przecież pokazują, że nie należy być beczynnym, ślepym czy głuchym na zło, skądkolwiek przychodzi, a wymaga tego przykazanie miłości. Tak czy inaczej: jest to sprawa nieobojęt-

na dla wszystkich wierzących. Pomijając przypadki wyjątkowo bolesne i skrajne, jak chociażby nadużycia seksualne, warto pamiętać, że wciąż pozostajemy we wspólnocie osób najróżniejszych, bardziej lub mniej upadłych, świętych czy nieświętych, a co za tym idzie – potrzebujemy siebie nawzajem, i to nie na podstawie naszej własnej doskonałości, lecz raczej na podstawie różnych powołań, jakie nałożył na nas Chrystus. *Jeden drugiego brzemiona noście* (Ga 6, 2). Im większe zadanie, tym większa potrzeba „porzucenia”, zaparcia się siebie dla dobra innych (oczywiście w ramach przykazania, aby *miłować bliźniego* tak jak *siebie samego*, a *siebie samego* kochać tak jak *bliźniego*).

„Trzeba, żebyśmy we wszystkich modlitwach i prośbach do Boga nie tylko za siebie samych się modlili, ale za wszystkich, jak nas tego uczy Chrystus Pan w swojej modlitwie, w której nie ma ani *meo*, ani *ja*”¹ – pisał o Kościele jeden z jego najwybitniejszych nauczycieli w dziejach, św. Franciszek Salezy. A więc podstawową regułą katolickiego życia duchowego jest „my”. W jej obrębie ksiądz, siostra zakonna czy biskup staje się tak samo moim bratem czy siostrą jak osoba świecka, która siedzi w ławce obok. Rzeczywiście, w modlitwie *Ojcze nasz* oraz *Zdrowaś Maryjo* prośby zanoszone są w trynitarnej jedności osób ochrzczonych. Modlą się wszystkie członki Ciała Pańskiego,

¹ Cyt. za: *Modlitwa. Mądrość doktorów Kościoła*, oprac. K. Pacyga, M. Paczyńska, Kraków 2016, s. 22-23.

współdziałające ze sobą na mocy tego, co Pius XII nazwał *wspólnotą dóbr duchowych*². Stąd też sformułowanie: „Atakuję Kościół, a nie ludzi wierzących” zawiera w sobie pewną polaryzację, której nie da się pogodzić z istotą katolicyzmu. Konsekwentnie wprowadza ono podział na „nas”, uczciwie wierzących, i „tamtych”, którzy w Ciele Chrystusa sprawują szereg funkcji, ale kompromitują nauki Ewangelii. Oni są od „robienia sobie Kościoła”, a my – od „prawdziwej wiary”. W takim postawieniu sprawy tkwi oczywiście krzywdząca generalizacja. Wzbudzający odrazę „kler” to nie tylko księża upadli i zepsuci, ale również osoby zakonne i kapłani, tacy jak św. Maksymilian Maria Kolbe czy bł. Jerzy Popiełuszko (przykładów jest całe mnóstwo), którzy zaświadczyli o godności człowieka w najcięższych możliwych warunkach. Mało tego: „kler” to przeważnie *zwyczajni* księża, tak samo potrzebujący nauki pokory, tak samo głodni miłości Chrystusa, tak samo potrzebujący nawrócenia i tak samo zdolni do wspaniałych gestów jak wszyscy inni zebrani na Mszy świętej. Interesujące, że tuż po zacytowanych wyżej słowach Pana Jezusa na temat upominania oraz oczyszczania Kościoła z grzechu i zła następuje nauka o wartości wspólnoty:

Dalej, zaprawdę, powiadam wam: Jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o coś prosić będą, to wszystkiego użyczy im mój Ojciec, który jest w niebie. Bo gdzie są dwaj albo trzej ze-

brani w imię moje, tam jestem pośród nich (Mt 18, 19-20).

Słowa te znajdują swoje przełożenie zarówno na życie parafii, jak i na funkcjonowanie całych społeczeństw. Kościół nie generuje li tylko patologii, i to tylko z racji tego, że oprócz Ciała Chrystusa jest także ziemską instytucją. Przecież dzięki takiemu zorganizowaniu katolicy przez wieki budowali wielką kulturę, inspirowali i wspierali obronę praw człowieka, nieśli pomoc i wsparcie najbardziej potrzebującym. A więc struktura kościelna jest niedoskonałym (to prawda), ulepionym z ograniczeń obecnego świata „naczyniem” niosącym miłość Ukrzyżowanego Pana. Tej zaś potrzebują wszyscy bez wyjątku.

Co ma wspólnego Kler z Diderotem

Wydaje się, że powiedzenie „atakuję Kościół, a nie ludzi wierzących” zawiera w sobie jeszcze jedną subtelnie sformułowaną dezyderatę. Jest nią – jeżeli można tak się wyrazić – *zindywidualizowanie* całego życia chrześcijańskiego. Chodzi o to, aby sami katolicy – udobruchani zapewnieniem, że przecież nikt bezpośrednio nie atakuje wiary – odcięli się czy wręcz nabrali wrogości do instytucji Kościoła. Z miłością do Chrystusa ma ona przecież niewiele wspólnego. Na pewno nie jest nikomu potrzebna do tego, aby szczerze wierzyć. Zresztą wiara w Boga i Kościół – to dwie różne sprawy. To pierwsze jest moim prywatnym odczuciem, osobliwym, bo osobliwym, ale do którego mam prawo,

² Zob. Pius XII, *Mystici Corporis*, par. 82-92.

jeżeli go zbyt nie eksponuję, natomiast to drugie – zawsze pozostanie narzędziem społecznego nacisku. Najlepiej czcić Boga w zaciszu własnego domu, a w towarzystwie przyznawać się do swojej religijności z odrobiną zażenowania jako do fanaberii, do czegoś, co pozbawione jest zewnętrznej reprezentacji, a stanowi tylko mój osobisty pogląd na życie.

Kiedy zostanie przyjęta taka optyka, to katolicy będą zdani wyłącznie na jakiś rodzaj prywatnej religijności. Nie będzie pożytku ze skarbów posługi kapłańskiej, nie będzie jedności Ciała Chrystusa, który „jak ten kielich łączy kropel wiele”³, nie będzie *noszenia* nawzajem *swoich brzemion*. W to miejsce każdy stanie się samotną wyspą. W argumentie o „atakowaniu Kościoła, a nie ludzi wierzących” ostatecznie chodzi o wykorzenienie katolików ze wspólnoty łaski i sakramentów, a więc także o wrzucenie w jakąś indywidualistyczną duchowość, która stanie się jak najdalej od tego, czym jest katolicyzm. Nie da się w nim wyczytać jakiegось wezwania do tego, aby katolicy podjęli krytyczną refleksję nad stanem swojej wiary.

Atak na duchowieństwo, wszystkich księży i biskupów jako na jakąś patologiczną *massam damnatam* („masę przeklętych”) zawsze dotyczył zwykłych wiernych: *Uderzę pasterza, a rozproszą się owce stada* (Mt 26, 31). Zdawali sobie z tego

sprawę pisarze francuskiego oświecenia. Ich deklaracje pełne były zapewnień, że przecież nowy obywatel, ów człowiek wieku świateł, widzi wśród osób religijnych wiele pocziwych, prawych, a nawet szlachetnych jednostek. Ale kiedy tylko luminarze postanowili otwarcie uderzyć w Kościół, w jego zbytek i wyuzdanie, zawsze między wierszami wplatali mniej lub bardziej subtelną zachętę do demontażu wiary katolickiej. Dobitnie pokazuje to chociażby struktura fabularna słynnej niegdyś powieści *Zakonnica* Denisa Diderota (prawdopodobnie dużo głośniejszej od wyświeatlanego niedawno *Kleru*). Zasadniczą część utworu zajmuje ciągnący się w nieskończoność, powtarzalny aż do znudzenia opis intryg, jakich względem siebie dopuszczają się demoniczne, acz przy pierwszym kontakcie ociekające słodyczą i miłosierdziem, siostry klaryski. Można by sądzić, że Diderot atakuje wyłącznie patologiczną, zepsutą do cna strukturę zakonu żeńskiego. Analiza wątków pobocznych powieści pokazuje jednak całą skomplikowaną sieć wzajemnych napięć i zależności pomiędzy Kościołem a ludźmi wierzącymi. Zdeprawowanie duchowieństwa naznacza wszakże zwykłych ludzi. Ryba psuje się od głowy. Rozkład jest nieuchronny i całościowy, a towarzyszy mu koszmarny, trudny do zniesienia swąd. Wciąż jednak nie wiadomo, czy to kler, czy też zwykli katolicy pełnią rolę gnijącej rybiej głowy.

Przy dalszej lekturze *Zakonnicy* okazuje się, że zasadniczy problem tkwi nie tyle w rozpasaniu duchowieństwa, co w samej

³ *Jeden Chleb, co zmienia się w Chrystusa Ciało*, w: *Droga do nieba. Katolicki modlitewnik i śpiewnik*, Opole 2017, s. 528.

wierze katolickiej, w tej toksycznej mentalności wpojonej przez chorą instytucję. Żółć i hipokryzja rodziców wtrąca córkę do zakonu. Z kolei zakony stają się bastionem i kuźnią podwójnej moralności. Koło się zamyka. Diderot zdawał sobie bowiem sprawę, że Kościół jest wspólnotą. Dlatego rzeczywistym tematem *jego powieści* nie jest krytyka instytucji, ale raz po raz pojawiająca się konstatacja: „Okropności tak mnogie, tak różnorodne, tak nieustanne. Tyle okrucieństwa tak wyszukanego w duszach religijnych”⁴. No właśnie: „dusza religijna” – oto źródło zła.

Zwiastun *Kleru*, czyli reżyserowanie pogardy

Z filmem *Kler* było trochę tak jak z osławioną *Klątwą* Olivera Frljića. Kwestia wartości artystycznej dzieła zrazu zeszła na dalszy plan, a nawet całkowicie znikła. Twórcom zwiastuna wyraźnie chodziło o wykreowanie społecznego performansu, w który zostaliby zaangażowani wszyscy, niezależnie od tego, czy udadzą się do teatru, czy też odmówią sobie tej przyjemności. Każdy musi ustosunkować się do dzieła. Inaczej zrobi to wielbiciel tego typu spektakli, inaczej osoba całkowicie im obojętna, a jeszcze inaczej ktoś, komu nie odpowiada ta treść i ta forma. Jedno jest pewne: eksperyment najlepiej udaje się na takich uczuciach jak niechęć czy pogarda. Słowem: nienawiść dobrze się sprzedaje.

⁴ D. Diderot, *Zakonnica*, tłum. W. Rogowicz, Warszawa 1985, s. 78.

Na długo przed premierą filmu Smarzowskiego na jednym z portali dla kinomanów sukcesywnie ukazywały się komentarze w stylu: „w Polsce katotaliby cię zadźgają widłami i przypalą pochodniami” albo „mnie już cieszy ból d*py tych wszystkich ślepych fanatyków, którzy wzrastali w nietykalności cynizmu, zachłanności, kabotyństwa i dominacji KRK między Bugiem a Odrą”. Atmosfera tych wypowiedzi jest raczej niezdrowa (półżartem można powiedzieć, że trochę jak na socrealistycznych plakatach, gdzie *zgrzybiała stanucha* z innej epoki ciągnie do kościoła, natomiast młoda, reżolutna wnuczka odwraca odeń głowę i patrzy na samolot, ów symbol postępu). Nie uświadczyłem przy tym jakiegoś sensownego namysłu nad poziomem artystycznym ostatnich poczynąń Smarzowskiego ani w ogóle nad wciąż udoskonalanym profilem twórczym tego reżysera. Albo inaczej: takowe się pojawiały, choć raczej nie ze strony entuzjastów albo osób rozsmakowanych w zwiastunie najnowszego filmu, za który „katotaliby” mieliby dźgać niewinnych ludzi widłami, a następnie przypalać otwarte rany żywym płomieniem.

Tak czy inaczej, odbiór zwiastuna *Kleru*, z którym zetknąłem się na wspomnianym portalu filmowym, dobitnie pokazuje, jakie jest właściwie rezonowanie tego dzieła. Odnoszę wrażenie, że oddziaływanie to karmi się przeważnie niskimi instynktami. Podobnie zresztą jak w przypadku niegdysiejszego medialnego piętnowania polskich nauczycieli, których kreowano na

grupę społeczną wyjątkowo leniwą, wywierającą zły wpływ na uczniów (aż po incydent, w którym grupa bodajże gimnazjalistów włożyła na głowę swojego nauczyciela kubek ze śmieciami). Oczywiście zawsze można powiedzieć, że świadczy to o sukcesie filmu, skoro już przed premierą wzbudza on tak skrajne reakcje. Jest to wszakże kino zaangażowane społecznie. Burza społeczna (po której powietrze stanie się nieco czystsze) jest więc jak najbardziej pożądana. Tyle że sam *Kler* zdaje się tu pełnić rolę zaledwie pretekstową. Zwiastun, owszem, wywołał zamierzone reakcje, ale nie sam film – jako dzieło poruszające ważny problem – jest tutaj istotny. *Kler* dał jedynie wygodny pretekst do wyraźnego sformułowania niechęci. Ta zaś istniała wcześniej, niezależnie od dzieła Smarzowskiego, a nawet – bez związku ze scenariuszem, który jeszcze nie był w ogóle znany. Tłumaczy to, dlaczego sam film okazał się do bólu tendencyjny i właściwie niewarty drobiazgowej interpretacji. Jego treść musiała wszakże odpowiedzieć na tak wykreowane oczekiwania, nawet jeżeli efekt końcowy nie był tak satyryczny, jak sugerował to zwiastun.

Niedługo później na Facebooku natknąłem się na wydarzenie o dość osobliwym tytule: „Masowe oglądanie filmu *Kler* w celu jego popularyzacji”. Popularyzacja filmu, który jeszcze nie wszedł na ekrany kin? A może popularyzacja wspomnianej wyżej pogardy? W każdym razie organizatorzy zareklamowali tę inicjatywę jako „otworzenie się na prawdę”. W końcu. Nareszcie. Tak jakbyśmy nie byli

atakowani antyklerykalnymi treściami na długo przed wyreżyserowaniem *Kleru* i dopiero teraz mieli się zderzyć z brutalną rzeczywistością. A jednak nie ulega wątpliwości, że działa tu jedynie popyt na nienawiść (która sprzedaje się niewiele słabiej niż seks). Nie obrażając nikogo personalnie, mam również wrażenie, że w grę wchodzi tu ślepy, bezmyślny instynkt stadny, ponoć właściwy tylko „katolom i ich klechom”. *Kler* to nie jest film, który wypędziłby z narodu demony. On raczej zaprasza kolejne, próbując wstrząsnąć i zmusić do pokuty tanimi środkami, sprzedając wejściówki do „naszych polskich sumień” po nieprzyzwoicie niskiej cenie. Kompleksy nie zostaną zaleczone, nikt się nie pojedna, na pewno nie z powodu *Kleru* – wydaje się to niemal pewne. Ale wspomniane wydarzenie na Facebooku to także dobry papierek lakmusowy, który pokazuje, ile są warte deklaracje oczyszczenia atmosfery, rozdarcia zasłony, przerwania milczenia. Nawiasem mówiąc, nie spotkałem się z podobną promocją – nomen omen – *Milczenia* Martina Scorsese, obrazu, który stawia bądź co bądź niewygodne pytania wierze i Kościołowi.

Dlaczego uważam, że *Kler* jest filmem tanim? Także dlatego, że zionie olbrzymią przepaść pomiędzy wizją Smarzowskiego a dziełami takich reżyserów (dodajmy: niezwykle krytycznych wobec Kościoła katolickiego, a nawet samej wiary w Boga) jak Luis Buñuel, Ken Russell czy Peter Greenaway. *Droga mleczna* czy *Dzieciątka z Macon* to znacznie potężniejszy „antyklerykalny” pocisk aniżeli *Kler*, a jed-

nocześnie – trzeba to przyznać – prawdziwe perły europejskiego kina. Pomimo iż trafiły do kanonu sztuki filmowej, ich premiera na srebrnych ekranach nie spotkała się z „masowym oglądaniem w celu popularyzacji”, a to dlatego, że sam odbiór tych arcydzieł wymagał i wciąż wymaga twórczego wysiłku. Ani Buñuel, ani tym bardziej Greenaway nie chcieli tworzyć czegoś tabloidowego, zdatnego zaledwie do szybkiego, jednorazowego użytku. Ich krytyka katolicyzmu (a więc nie tylko duchowieństwa albo instytucji Kościoła) sięgała bez wątpienia wyższych, kulturotwórczych rejestrów. Była znacznie ostrzejsza i brutalna, niż niejednen polski widz by się spodziewał, ale była także dogłębnie przemyślana, stawiająca rzeczywiste pytania, doskonała artystycznie. Tego nie można powiedzieć o *Klerze*. Z tego też powodu nie bardzo ufam zapewnieniom Smarzowskiego, jakoby w najnowszym filmie chodziło o to, aby grzeszni księża trzykrotnie uderzyli się w pierś na znak pokuty. Jeżeli tak, to dlaczego sięgnął po stylistykę tabloidu? Można wprawdzie odnaleźć pewną ciągłość pomiędzy oświeceniową satyrą w stylu Diderota czy Woltera a *Klerem*, jednakże to wciąż za mało.

Będąc świadomym katolikiem, nie zostałem wcale pozbawiony zmysłu krytycznego. Mam własne zastrzeżenia co do części duchowieństwa, nie mówiąc już o nadużyciach seksualnych, które miały miejsce. Ale w przypadku *Kleny* nie wierzę w całe to antyklerykalne *apostolstwo prawdy*. Nie wierzę w dobre intencje, bo wyszło

bardzo tanio. Osobiście sędzę, że chodzi tu w gruncie rzeczy o bardzo prostą sprawę: o wyżycie się. Tak po stronie reżysera, jak i po stronie widowni. I cóż, jest w kulturze miejsce na takie zjawisko, które nazywa się kinem eksploatacji. To filmy, które pokazują wszystkich ludzi albo grupy społeczne jako zbiorowisko bestii, pijanych wódką i krwią, bezwzględnych, pozbawionych sumienia, biegnących w amoku prosto w przepaść. W Stanach Zjednoczonych od początku było jasne, że oglądanie tych utworów to tylko niskich lotów rozrywka⁵, natomiast w Polsce tego typu kino chętnie podcina się pod spadkobiercę nurtu *moralnego niepokoju*. Toteż mieliśmy niedawno *Drogówkę*, później *Botoks* Patryka Vegi, stylistycznie bliski tej części twórczości Smarzowskiego, którą można określić jako „eksploatację”, a jednocześnie doprowadzający ją do ekstremum, aż po autoparodię. Teraz mamy *Kler*. Mniej więcej od przełomu lat 60. i 70. sztuka filmowa wypracowała niszę, dzięki której można także rozładowywać agresję. Grunt, żeby tego rodzaju emocjonalnej pornografii nie uwznioślać. ■

Michał Gołębiowski

⁵ Należy przyznać, że ta „niskich lotów rozrywka” zainspirowała wielu wybitnych twórców postmodernizmu filmowego. Traktowana bez wątpienia jako „kino śmieciowe” (w pewien sposób bliskie pojęciu *pulp*), często amatorskie i kręcone niewielkimi środkami, okazała się w rękach utalentowanych filmowców ciekawym materiałem, narzędziem dekonstrukcji szeregu klisz kulturowych.